

NA CENZUROWANYM



DARIUSZ MAGIER

PROMOCJA PIERWSZEGO NUMERU „KOZIEGORYNKU”

Chłodnym wieczorem 14 września 2007 roku w magicznej siedzibie Radzyńskiej Izby Regionalnej odbyła się promocja pierwszego numeru kwartalnika kulturalnego „Kozirynek”. Atrakcji nie zabrakło. Organizatorzy zaprezentowali zgromadzonym trzy smakowite dania: wernisaż wystawy Mirka Koczkodaja zatytułowanej „Ziemia z nieba” - zespołu niecodziennych zdjęć wykonanych spod skrzydeł motolotni; recital piosenki poetyckiej Jana Kondraka oraz

panel dyskusyjny poświęcony kwartalnikowi kulturalnemu „Kozirynek”. Dopisała publiczność, w tym przedstawiciele bliższych (Międzyrzec Podlaski) i dalszych (Lublin, Siedlce, Warszawa) środowisk artystycznych. Efekty? Sądząc po znikających egzemplarzach magazynu należy przypu-



Mirosław Koczkodaj



Barbara Jedlewska

szczać, że pismo nie pozostało obojętne. Długo w noc trwała ożywiona dyskusja, którą zdominował przewodni temat pierwszego numeru kwartalnika - kompleks prowincji. Barbara Jedlewska, adiunkt w Zakładzie Pedagogiki Kultury UMCS, na podstawie prowadzonych badań omówiła zagadnienie, którym szerzej zajęła się na łamach magazynu. Poza tym omawiano pluses i minusy tytułu magazynu, formę pisma, perspektywy. Na zakończenie zaprezentowano, napisane specjalnie na tę okazję, opowiadanie Roberta Koncy (prezentujemy je poniżej), które w zastępstwie autora odczytał Artur Rogalski. Szerszą relację fotograficzną z imprezy można obejrzeć na stronie internetowej organizatora:

www.rasil.home.pl/rasil/kronika.htm

www.rasil.home.pl/rasil/kronika.htm



Jan Kondrak

ROBERT KONCA

PROWINCJE WSCHODNIE

Nazywam się Robert Konca i jestem pisarzem prowincjonalnym. Jako wieczny student Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, co pewien czas wyruszam w podróż z Siedlec do Lublina. Wyjeżdżam zwykle wcześniej rano, tym nieśmiertelnym autobusem o szóstej dziesiąt, który jest w rozkładzie od zawsze, czyli od kiedy pamiętam. Najbardziej lubię podróże zimowe, kiedy późny świt powoli, jak wytrawna striptizerka, odkrywa uroki wschodnich prowincji tysiącletniego imperium. Myślę sobie wtedy, że niegdyś, na przykład w XVI wieku, te ziemie były w centrum Republiki, a do wschodnich granic trzeba było tłuc się wiele dni konno lub powozem. A zatem jadę na południe. Po prawej stronie szyby trwa jeszcze noc, ale po lewej, na wschodzie, z wolna podnosi się kurtyna świtu. Kiedy o siódmej z minutami autobus wjeżdża do Radzyna, pałac wylania się z porannych mgieł jak Tadž Mahal albo Machu Picchu. Można wyjść na papierosa, przejść się po skrzypiącym śniegu i patrzeć, jak pierwsze promienie słońca barwią na różowo pasma mgły, z której wyrastają olbrzymie wieże starożytnych drzew. To miasto nazywało się kiedyś Kozirynek i tak powinno zostać. Trudno o piękniejszą i jednocześnie bardziej prowincjonalną nazwę. Natomiast Radzyń Podlaski kojarzy mi się z egipskim bogiem RA i dźwiękiem dzwonka, przy czym wszystko to dzieje się w pobliżu lasu. Też pięknie.

Wracam do autobusu i myślę o innych miejscowościach prowincji wschodnich: niesamowita, bezpretensjonalna w nazwie Czeremcha, czy słynna Hajnówka, do której kiedyś trafiłem na niezłym hajcu, ale to już zupełnie inna historia. No i jeszcze polodowcowe Kisielany, letnia siedziba doktora Rogalskiego. Nie zapomnę wspinającej kąpieli w tamtejszym stawie rojącym się od piranii i pijawek (nie dam sobie ręki obciąć, ale wydaje mi się, że w pewnym momencie otarło się o mnie śliskie cielsko aligatora).

Autobus rusza dalej i wkrótce przybywamy do Kocka. Nie wiem dlaczego, ale zawsze oglądam to miasto z tym samym tajemnym zdumieniem. Kiedyś nie wytrzy-

małem i wysiadłem, aby sprawdzić, czy rzeczywiście nic się tam nie dzieje. No i rzeczywiście: kilka osób szwendało się w tę i z powrotem bez pośpiechu i wyraźnego celu; sklep spożywczy oblegało dwóch takich, co to posiadli piękną umiejętność spania na stojąco. Co pewien czas na ogromny plac wjeżdżał autobus, ale nikomu nie chciało się do niego wsiadać. Z jednej strony niskie, stare domy, z drugiej post-industrialne ruiny zapomnianych fabryk. Pomyślałem, że aby poczuć klimat Kocka, wziąć udział w dyskretnym rytmie tu-tejszego życia, trzeba by tu spędzić wiele lat. Jako samotnik czułem się tam jednak znacznie lepiej niż na przykład w Warszawie.

Wpół do dziewiątej jestem w Lubartowie. Mgła opada, słońce przydaje ośnieżonemu miasteczku oslepiającego blasku. W tym miejscu muszę się przyznać, że czasami nie dojeżdżam do Lublina, tylko wysiadam w Lubartowie, by odwiedzić pewną mądrą i piękną dziewczynę. Ale założmy, że parę minut po dziewiątej wysiadam z autobusu pod lubelskim zamkiem i potem tylko idę w górę Lubartowską, później w prawo Krakowskim Przedmieściem, Raclawickie, tam w lewo, obok hotelu i kościoła, i jestem już w domu, to znaczy na uniwerku. Słucham znakomitego wykładu doktora Tarachy o przestępczości zorganizowanej. I to też jest swego rodzaju podróż, zimna obserwacja przemieszczających się worków kokainy, marihuany i opium z punktu A do punktu B. Przemierzam szlaki przetrzutowe Azji i obu Ameryk wraz z uczestnikami tych niebezpiecznych wypraw. Widzę wieśniaków gdzieś na zapadłej prowincji Kolumbii czy Meksyku, nadzorców i kurierów, widzę samoloty, statki i małe łódki o kilku dnach, zmierzające jak chmara szarańczy ku wielkim miastom Stanów Zjednoczonych z tysiącami ton dragów. Poznają ceny hurtowe i detaliczne, personalia federalnych undercover i szefów najważniejszych gangów, całą Ligę Mafijnych Rodzin, skorumpowanych sędziów i polityków. Wieczorem, czekając na pociąg, wypijam rytualne piwo w Barze Włoskim koło dworca PKP, pośród

zgiełku rozmów o planowanych skokach, obrobionych willach i aptekach, o drobnych, acz genialnych przewalankach finansowych, w których zysk sięga czasem nawet i dziesięciu polskich złotych. Pojawia się pan Boguś, słynny trener boksu, który po drugim piwie bezskutecznie i rozpaczliwie szuka godnego siebie przeciwnika do chociażby jednorundowego pojedynku w ciasnym ringu knajpki. Jego przyjaciel potężny dwumetrowy facet z czarną, bujną brodą, uspokaja go łagodnym jak aksamit głosem (a przemawia piękną, literacką polszczyzną), próbując skierować uwagę pana Bogusia na problemy natury filozoficznej, a gdy to nie pomaga, delikatnie - acz stanowczo - rozwiera zaciśnięte pięści trenera, unosi go do góry niczym dzieciaka i sadza na okrągłym stołku obok siebie, rozwijając jednocześnie barokową w formie opowieść o połowach ryb w rzece Wieprz. I twarz pana Bogusia rozjaśnia się i bar oddycha z ulgą, ale nie na długo, bo znowu ktoś wchodzi, zamawia piwo, a pan Boguś już jest przy nim, już patrzy mu głęboko w oczy tym spojrzeniem, którym Mike Tyson obdarzył przed walką Andrzeja Gołotę.

Później podróż pociągiem relacji Lublin - Warszawa. W przedziale spotykam gangstera, jedzie do Wołomina na urodziny swojego wuja czy Dziada. Można powiedzieć, że od teorii przechodzę do praktyki. Rozmowa z kodeksu karnego i procedur szybko schodzi na problemat wina i zbawienia. On, pomiędzy drogą Chrystusa a pięcioraką ścieżką Buddy, pyta jeszcze, jak

udawać chorobę psychiczną, by uniknąć wyroku. Mówię mu: Stary, żadnych fajerków i odpałów, tak jak dzisiaj myśl i mów dużo o Bogu, jednocześnie co chwilę zapewniam biegłych psychiatrów, że jesteś normalny, a na pewno uznają, że masz schizę i ograniczoną poczytalność. Wiem to po sobie. Gdzieś za Nałęczowem woda zmienia się w wino i zaczyna się czysta metafizyka, bez osądzania, bez kary i nagrody. Rozstajemy się na dworcu Warszawa Wschodnia, jak starzy przyjaciele, zdradzając sobie nawzajem swoje tajemne imiona, czyli ksywy.

Czasami, w Lublinie albo w Lubartowie, pojawia się Artur, a wtedy nasza podróż powrotna ma swoje interludium w Dublinie (zwanym tutaj Dęblinem), o którym nie śnił nawet James Joyce. W oczekiwaniu na pociąg osobowy do Łukowa przez Krzywę, w kolejowym mroku, na przekór czerwonym światelkom i opuszczonym semaforom, recytując jak mantrę wiersze Czechowicza i Łobodowskiego, idziemy wzdłuż ślepego toru, do najdziwniejszego baru świata pod hałdą nasypu, gdzie Stefan Grabiński pełni obowiązki barmana i zawiadowcy tej widmowej stacji.

W tych podróżach, na mój obraz prowincji wschodnich nakłada się wiele innych elementów. Czasami, gdy patrzę przez okno autobusu na ulice Radzyna, czy nieczynną linię kolejową gdzieś między Lubartowem a Lublinem, dostrzegam jakies subtelne poruszenie przestrzeni, migoczące fragmenty z przeszłości, jakby miniony czas, wbrew bezlitosnej fizyce, ukazywał się na chwilę, upominając się o swoje prawo do istnienia w wieczności. Niekiedy przychodzą do mnie wiersze; ich ciche szepty i ukryte znaczenia nadają widzialnej rzeczywistości cech nadrealnych, niemal malarskich. Być może to jest właśnie pisanie prowincjonalne: w Polsce B czy C, w tej małej ojczyźnie uznawanej za świat gorszej kategorii, świat biedny i wykpiwany przez salony, twórca patrzy przed siebie zamyślony, nie zwraca sobie głowy karierą literacką, recenzjami, krytykami, i jego wyobraźnia współtworzy tutejszą rzeczywistość. Nagle, właściwie nieświadomie, chwyta za pióro albo pędzel, i opisuje ten świat złożony z wyobrażeń, przywidzeń i niepewnych konstatacji. Jego umysł podą-



Artur Rogalski dzierży w dłoniach opowiadanie Roberta Koncy

📷 Paweł Żochowski

za często brzegiem rzek epizodycznych, których nurt znika równie nagle, jak się pojawił. Ale w tym pozornym chaosie uważny czytelnik może czasem dostrzec piękno, niekiedy bolesne i dyskretne w swojej pokorze.

Kiedyś mój kumpel Bogdan Marszałek dał do recenzji swoje opowiadanie pewnemu nabzdyczonemu facetowi, który uważał się za wielkiego krytyka literackiego. Ten, po przeczytaniu tekstu, machnął z lekceważeniem ręką i powiedział: Panie, to nie ma nawet początku, rozwinięcia i zakończenia. Jednym ruchem ręki usiłował zanegować czyjś świat tylko dlatego, że nie pasuje do wizji świata i literatury jego - wielkiego kretyna, przepraszam - krytyka.

Świat staje się pełniejszy wtedy, kiedy oprócz świadomości istnienia praw fizyki i organizacji materii, jesteśmy gotowi odpowiedzieć na znaki i wołania pochodzące ze stref peryferyjnych, z miejsc, które są obok nas, choć zwykle ich nie dostrzegamy. To są najciekawsze i najbardziej oniryczne prowincje naszej wewnętrznej krainy. Tak samo jest na zewnątrz: fantasmagorie, sny i szept z kosmicznej otchłani, zdają się łatwiej docierać do miejsc położonych na uboczu, niż do metropolii centralnych, najeżonych antenami, które jednak odbierają tylko sygnały głupawych stacji radiowych i telewizyjnych. Na peryferiach metafizyka i poezja spotyka się z prozą codzienności; demony i anioły spacerują ramię w ramię z ludźmi po brukowanych uliczkach, wnikając w obdrapane ściany dożywających spokojnie swoich dni starych domostw, pamiętających dawne wieki, gdy nie było jeszcze samochodów, paneli budowlanych i jednorazowych gadżetów udających rzeczy codziennego użytku.

Nigdy w życiu nie jadłem homara; z sushi mam do czynienia czasem o świcie, kiedy poprzedniego dnia za dużo wypilem. Zamiast Doroty Masłowskiej, czytam Brunona Schulza. Szanuję Adama Zagajewskiego za jego poezję i za to, że przyjechał niedawno do Siedlec i czuł się tam dobrze, i że o tym opowiada, i że z taką

pasją czytał nam wiersz „*Rovigo*” Zbigniewa Herberta. Jestem pisarzem prowincjonalnym i mam kres w nazwisku - jak trafnie zauważył kolega Mariusz Bober w Kwartalniku Kulturalnym „Kozirynek”. Przeraza mnie i zarazem fascynuje upływający coraz szybciej czas. Unikam oficjalnych spotkań i modnych kurortów; na urlop wyjeżdżam do drzemiących wśród gór wiosek w Polsce czy Słowacji. Lubię usiąść gdzieś na uboczu i patrzeć na szczęśliwych ludzi, (a przynajmniej wyobrażam sobie, że są szczęśliwi), nie mających nic oprócz starego domu i skromnego w nim dobytku odziedziczonego po przodkach. Patrzę, jak z mozołnym uporem i jednocześnie czułością uprawiają skrawek ziemi na pochylonym górskim stoku, w otoczeniu paru owiec i kóz, do których czasem gadają coś cicho, jakby opowiadali zwierzętom o swoich losach i codziennych troskach. Twarze tych ludzi to rzeźby, nad którymi ciągle pracuje Czas, ten bezkompromisowy artysta, który - raz poprzez subtelne bruzdy, innym razem - za pomocą głębokich blizn, pragnie oddać tragizm i piękno ludzkiej egzystencji. Warto tu jechać, choćby i dwa dni, aby ujrzeć taki oto widok: stary pasterz, wsparty na długim, sękatym kijku, w otoczeniu gromadki białych owiec, ze starym jak on przygarbionym psem u nogi, patrzy na słońce zachodzące między dwiema górami. To chwila, kiedy czas nie płynie, nawet on kapituluje na moment w obliczu tej odwiecznej komunii powtarzanej od tysiącleci. Zwierzęta stoją nieruchomo i także patrzą tam, gdzie ich pasterz, którego poorana zmarszczkami twarz wyraża pierwotny, niczym nie zmałowany zachwyt...

Przypomina mi się zdanie, którym Malcolm Lowry rozpoczął jedno ze swoich opowiadań pisanych na kanadyjskiej prowincji: „Co wieczór o zmierzchu szedłem ścieżką przez las po wodę ze źródła”. Nie pozostaje mi więc nic innego jak pozdrowić z tego miejsca Konfraternię Kozirynek i ruszyć tajemniczą ścieżką do źródła, przez narastającą ciemność, która jednak nie przynosi lęku, ale spokój.



50 LAT ŚPIEWANIA SŁAWY PRZYBYLSKIEJ

Po koncercie jubileuszowym 26 maja 2007 roku w Międzyrzeczu Podlaskim w rozmowie z red. Istwanem Grabowskim („Słowo Podlasia” nr 23/07, s.14) Sława Przybylska mówi m.in. „Benefis w Międzyrzeczu Podlaskim to sentymentalna konieczność. Czułam w sobie potrzebę zaakcentowania związków z miastem i ludźmi, którzy darzą mnie miłością (...). Miejsce urodzenia to kolebka, z której wyniosłam wszystko, co w życiu ma sens. Przecież w dzieciństwie kształtuje się charakter człowieka, miłość, gust, upodobania. (...) Mała Ojczyzna to Dom, drzewo, ogród, łąka. Rodzinne miejsca zapadają w pamięć na całe życie i potem tęskni się do nich w snach. Zawsze w pamięć na całe życie i potem tęskni się do nich w snach. Zawsze była pod wrażeniem przyrody, śpiewu ptaków, kwitnących ogrodów. Z takimi wspomnieniami kojarzy mi się Międzyrzec, gdzie żyłam z porami roku.

Sława Przybylska urodziła się 2 listopada 1931 roku w Międzyrzeczu Podlaskim. Znamienna piosenkarka i pieśniarka o bogatym dorobku twórczym i artystycznym, inicjatorka ciekawych zdarzeń kulturalnych w kraju oraz ambasadorka kultury polskiej na świecie. Dzieciństwo i pierwsze lata nauki spędziła w Międzyrzeczu Podlaskim. Jako piętnastoletnia dziewczyna opuściła na zawsze rodzinny dom i miasto w którym wzrastała. W 1946 roku rozpoczęła edukację w podkrakowskich Krzeszowicach, gdzie profesor Stanisław Jedleński prowadził dom młodzieży. To tutaj kształtował się talent i osobowość przyszłej artystki. To tutaj oprócz nauki w gimnazjum, uczyła się gry na fortepianie, śpiewu i chodziła na lekcje rytmiki. Równoległe z talentem muzycznym rozwijały się uzdolnienia plastyczne. Wynikiem tego była następnie kontynuacja nauki w Liceum Sztuk Plastycznych w Warszawie. Na tym poszukiwania przyszłej drogi życiowej nie zakończyły się. Następnie Pani Sława rozpoczęła studia na Wydziale Handlu Zagranicznego Szkoły Głównej Służby Zagranicznej, uzyskując w 1954 roku dyplom i kwalifikacje ekonomisty. Po ukończeniu studiów, na krótko podjęła

pracę w „Hartwigu” i Wydawnictwie Handlu Zagranicznego „Agpol”. W okresie studenckim Pani Sława Przybylska oddawała się z pasją śpiewaniu w różnych formach studenckiego ruchu artystycznego, m.in. śpiewała w zespole wokalnym prowadziła chór, udzielała się w teatrze satyrycznym i występowała w kabarecie „Stodoła”.

Rok 1957 okazał się przełomowym i najważniejszym w życiu artystycznym Sławy Przybylskiej. Podwójne zwycięstwo w konkursie Polskiego Radia, a następnie w konkursie Telewizji Polskiej na najlepszego piosenkarza amatora rozpoczęło pasmo sukcesów młodej piosenkarki i przesądziło o wyborze drogi życiowej i zawodowej. Kształci się dalej w kierunku muzycznym, podejmując naukę w Szkole Muzycznej i w Radiowym Studium Estradowym pod kierunkiem m.in. Hanny Skarżanki, Aleksandra Bardiniego, Jerzego Abramowskiego i innych. Druga połowa lat 50. jest początkiem kariery artystycznej i estradowej Sławy Przybylskiej. Ogromny sukces przynosi jej nagranie w 1958 roku piosenki z muzyką Lucjana Kaszyckiego „Pamiętasz była jesień” do filmu Jerzego Wojciecha Hasa „Pożegnania”. W tym czasie koncertuje. Nagrywa też piosenki dla polskiego radia i telewizji, a także dla zagranicznych rozgłośni radiowych i firm fonograficznych. W latach 1958-60 nagrała też piosenki do filmów: „Popiół i diament” i „Niewinni czarodzieje” Andrzeja Wajdy, „Rozstanie” Wojciecha Hasa, „Zezowate szczęście” Andrzeja Munka. Jej życie artystyczne nabiera ogromnego tempa, koncertuje z własnymi recitalami, odnosi sukcesy w plebiscytach popularności oraz odbywa pierwsze podróże zagraniczne. Uczestniczy też w kształtowaniu życia kulturalnego Polski, inicjując powstanie Teatryku Piosenki „Tingel-Tangel”, gdzie wspólnie z Agnieszką Osiecką, Krystyną Sienkiewicz, Andrzejem Jareckim, Wojciechem Solarzem, Stanisławem Młynarczykiem i świetnymi muzykami m.in. Krzysztofem Komedą. Zachwycają swoją twórczością publiczność w całej Polsce, odnosząc kolejne sukcesy i uzyskując



wspaniale recenzje. Jej sugestywny sposób interpretacji piosenek przynosi szereg propozycji kabaretowych i teatralnych. Występuje więc w kabarecie Kazimierza Krukowskiego „U Lopka”, Jana Pietrzaka „Pod Egidą” oraz kabarecie „Kurierek”. Uczestniczy w spektaklach teatralnych w reżyserii Wojciecha Siemiona w Teatrze Stara Prochownia oraz w reżyserii Szymona Szurmieja w Teatrze im. Estery Rachel Kamińskiej. W latach 1983-88 była związana z Teatrem na Targówku w Warszawie.

W długoletniej karierze artystycznej Sława odwiedziła z recitalami takie kraje jak: Armenia, Australia, Azerbejdżan, Belgia, Białoruś, Bośnia, Bułgaria, Chorwacja, Kostaryka, Czechy, Dania, Estonia, Francja, Grecja, Gruzja, Hiszpania, Holandia, Izrael, Jamajka, Jugosławia, Kanada, Kazachstan, Kolumbia, Liban, Litwa, Łotwa, Meksyk, Mołdawia, Niemcy (a wcześniej NRF i NRD), Panama, Portugalia, Rosja, Rumunia, Słowacja, Słowenia, Szwajcaria, Szwecja, Turkmenia, Ukraina, USA, Uzbekistan, Węgry, Włochy, Wielka Brytania. Jak jednak mówi, „zawsze z radością wracałam do domu”.

Sława Przybylska, oprócz piosenek nastrojowych, które przyniosły jej pierwsze sukcesy, śpiewała piosenki charakterystyczne i żartobliwe, a także melodyjne piosenki żydowskie. Fascynacja kulturą

żydowską, sięgająca korzeniami lat dzieciństwa, sprawiła, że ważne miejsce w działalności piosenkarki zajmują pieśni i piosenki Żydów polskich oraz piosenki hebrajskie, w tym szczególnie muzyczne motywy biblijne. W tym repertuarze występowała z recitalami w wielu miastach Europy i Stanów Zjednoczonych oraz w Izraelu. Pod koniec lat 80. była częstym gościem radiowej Trójki i magazynu „Menora”, który zajmował się tematyką żydowską. Na przełomie XX i XXI wieku uczestniczyła w kolejnych Festiwalach Kultury Żydowskiej przyczyniając się do popularyzacji kultury tego narodu oraz działając na rzecz polsko-żydowskiego porozumienia.

Będąc w wielu miejscach na świecie Sława przywoływała przeżycia i obrazy rodzinnego miasta nad Krzną, w którym wiele lat temu żyli obok siebie ludzie różnych kultur i przekonań. Sława Przybylska jest żywym dowodem zwycięstwa twórczego myślenia, nad dominacją zła okresu wojny. Miejsce kształtowania się osobowości Sławy oraz sposobu postrzegania świata i ludzi często powraca we wspomnieniach artystki. W większości wywiadów oraz podczas licznych występów artystycznych zawsze wymienia miasto swojego dzieciństwa z nazwy i wspomina je z sentymentem.

Aktywność i twórcze myślenie artystki oraz umiłowanie słowa ojczystego zaowocowało w drugiej połowie lat 80. inicjatywą zorganizowania w naszym mieście -Międzyrzeckich Jesieni Teatralnych. Na początku lat 90. założyła w ówczesnym miejscu zamieszkania w Szczawnicy, Szczawnickie Stowarzyszenie Literacko-Artystyczne im. Czesława Miłosza, które powołało do życia Ogólnopolski Turniej Recytatorski Literatury Emigracyjnej pod hasłem „Od Mickiewicza do Miłosza”. W 1996 roku Turniej stał się imprezą kulturalną o zasięgu międzynarodowym i przybrał nazwę Międzynarodowy festiwal Słowa. Cykl imprez będących świętem literatury polskiej, dzięki osobie Sławy Przybylskiej nie omija również naszego miasta. Trzy edycje Turnieju recytatorskiego „Od Mickiewicza do Miłosza”, pod kierunkiem artystycznym piosenkarki, odbyły się w Międzyrzeczu Podlaskim. Współorganizatorami tych turniejów byli m.in. Miejski Ośrodek Kultury w Międzyrzeczu Podlaskim i Międzyrzeckie Stowarzyszenie Teatralne. Turniejom i Festiwalom towarzyszyły zawsze wspaniałe osobowości świata kultury, nauki, teatru oraz młodzież z polski i z zagranicy. W 1997 roku w ramach II Festiwalu Słowa, którego finał odbył się w Międzyrzeczu Podlaskim, miał miejsce jubileuszowy Koncert Sławy Przybylskiej z okazji 40-lecia pracy artystycznej, nad którym patronat objął Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej.

Wszechstronność Sławy Przybylskiej daje swój wyraz również w działalności społecznej na rzecz kultury oraz edukacji młodego pokolenia. W podejmowanych inicjatywach stawia sobie za cel popularyzowanie wartości i piękna ojczystego języka w literaturze i poezji.

Jak mówiła podczas inauguracji IV Turnieju Recytatorskiego „Od Mickiewicza do Miłosza '94”, „jestem tu, aby pomóc młodzieży umocnić przekonanie, że warto uprawiać wielki ogród sowa poezją i literaturą, bowiem piękne i dobre słowo czyni nasze życie lepszym i piękniejszym. W naszych czasach, w czasach zamętu i rozpadu wartości, uprawianie i upowszechnianie

poezji jest wyzwaniem i obowiązkiem. Wiem, że niejednokrotnie jest to praca Syzyfa. Ale mit Syzyfa uczy nas także wierności swojemu posłannictwu i swojemu powołaniu. Uczy nas znajdować szczęście i radość w nieustannym wysiłku, nawet jeśli owoce tego wysiłku nie my będziemy spożywać. Służąc poezji, służymy naszemu językowi ojczystemu”.

Sława Przybylska jest ciągle aktywnym twórcą i działaczem kultury. Uczestniczy w wielu imprezach kulturalnych i występuje z recitalami na scenach w kraju i poza granicami. W swojej karierze artystycznej zaśpiewała i nagrała ponad 800 piosenek, 106 autorów i kompozytorów.

Pięćdziesiąt lat pracy artystycznej jest wielkim wkładem w dorobek polskiej i światowej kultury, a sama artystka znakomitym ambasadorem polskiej kultury i dobrej informacji o Polsce i Polakach, a przede wszystkim informacji o naszej małej ojczyźnie - rodzinnym domu w Międzyrzeczu Podlaskim, o jej pięknie i trudnej historii.



📷 Krzysztof Jakubiuk i Radosław Małachwiejczuk





RYSZARD KORNACKI

Dopiero teraz

Dopiero teraz wiem
że wszystko może
istnieć beze mnie:
rzeka biegnąca do morza
brzemienny sad lipcowy
ptak na rękach drzewa
śpiewający modlitwę
do nieba
bocian wpatrzony w dymy
płonącej jesieni
wróbel szary
jak zamglony ranek
i złota pszczoła
tańcząca z upalnym
latem
Dopiero teraz wiem
przed granicą cienia
że jestem kruchy
drobny kamyczek
spadający bez echa
z drabiny Jakuba

ROMAN POSTEK, MAGDALENA RACZKO-PIETRASZEK

HAPPENINGI W LIWIE

„KRAĞ” (02.08.2006), „RAMA” (09.08.2007),

„ZEGAR SŁONECZNY” (28.08.2007)

Autorzy: Roman Postek, Magdalena Raczek-Pietraszek

Miejsce: Liw, podzamcze XV-wiecznego zamku

„Krağ”, „Rama”, „Zegar słoneczny” to działania, które mają znaczenie symboliczne, w których podstawowe pojęcie czasu i przestrzeni nabierają nowego wyrazu. Każda z realizacji z założenia była akcją w plenerze, według określonego scenariusza przy udziale innych osób. Efektem końcowym było dzieło, które pozostawało jako samodzielnie funkcjonująca forma przestrzenna.

Krağ

Koło jest symbolem doskonałości pochodzącej od Boga; znakiem Nieba i życia duchowego.

Wykreślenie koła zawsze zgodnie z naturalnym kierunkiem (z ruchem wskazówek zegara) oznacza wieczny ruch wokół centrum, równoznaczny z obiegiem planet wokół nieruchomego Słońca i ciągłą zmienność pór roku.

Sama czynność wyznaczenia kręgu oznacza podjęcie aktywnego działania przeciw siłom chaosu i stworzenie strefy *sacrum* oddzielonej linią od sfery *demonium* i chaosu pozostającej na zewnątrz. Działanie to jest także symbolicznym, nacechowanym refleksją, cofnięciem się do prehistorii, kiedy powstawały kręgi megalityczne i zakładano pierwsze stałe osiedla - wyspy światła wśród mroku.

Krağ w na podzamczu w Liwie powstał z materii duchowej wierszy Magdy Raczek-Pietraszek, rozłożonych wokół wyrysowanego uprzednio na ziemi koła, którego

środek stanowi wielki, granitowy głaz. Zbliżając się do kręgu widz wciągnięty zostaje w wędrówkę wokół niego, ponieważ wiersze są tak umieszczone, że aby je odczytać należy przekroczyć krağ wstępując do jego wnętrza, co jest formą wtajemniczenia.

Przez taki sposób eksponowania wiersze trwają w przestrzeni. Ich odbiór podczas koncentrycznego ruchu wprowadza element czasu. Jednak kartki papieru z tekstem i tak istnieją obiektywnie, jako znak plastyczny emanujący własną siłą. Krağ można uznać za komunikat skierowany w Kosmos lub też, jak kto woli do Nieba, co jest jednak niezamierzoną i nieoczekiwaną zaistniałą dla samych twórców sytuacją.

Magda Raczek-Pietraszek ma dar zmysłowego, oszczędnego obrazowania natury, uczuć ludzkich, pór roku wyznaczanych zmiennym kształtem krajobrazu. Część z wierszy powstała pod wpływem zamku liwskiego i jego otoczenia, co jeszcze bardziej (symbolicznie, nie tylko realnie) wiąże je z ziemią, na której spoczywają.

Rama

Rama jest elementem z innego świata. Innego od pejzażu, w którym się znajduje. Pojawia się na zasadzie elementu surrealistycznego, coś jak parowóz w głębi dziewiczej puszczy czy żaglowiec na środku pustymi. Nie wyrasta z otoczenia, zjawia się w nim nagle i niespodziewanie. Neonowy kolor odcina ją



Rama



Krağ



Zegar

jeszcze bardziej, sprawia że wyłamuje się z krajobrazu. Jest jak iluminacja, nagle objawienie. Ma rozbijać potoczne wyobrażenie o świecie, działać jak środek pobudzający wyobraźnię, stymulujący do odkrywania nowych wymiarów rzeczywistości, coś ekscytującego, wywołującego pytanie, symbolizującego tajemnicę. Nie jest częścią przyrody, ma własne tajemnicze życie, którego sama jest znakiem.

Zegar słoneczny

Każdą godzinę, wyznacza kamień leżący na murawie i wiersz na kartce papieru przypiętej do ziemi.

Kamień jest stałą wartością wyznaczającą upływ czasu. Wiersz myśl jest zjawiskiem ulotnym, pojawia się w czasie, jednak mimo jego upływu trwa. Sprawia, że każda godzina, każda chwila jest inna.

Żeby odczytać godzinę wyznaczoną przez ten zegar słoneczny, trzeba wstąpić do wnętrza czasu. Wejść w przestrzeń zegara i stanąć na linii cienia, łącząc się ze słońcem i ziemią, zanurzając się w czas boski i ludzki jednocześnie.



Magdalena Raczko-Pietraszak



[ZA KOCZKODAJ

w objęciach

uśpiłeś moją czujność
*(do głębi
przez naskórek)*

szczęściem

coraz trudniej skoczyć

i wpaść
w objęcia ostrzy słów
z ostrzy traw

*

coś we mnie wtedy pękło
bo nie mogłam pisać

cud niepamięci

zmarł z ran
a mo
że nie

tylko kot

dał się zagłaskać

wet za wet?...

*w tym tygodniu nie przyjadę do domu
ślę całusy*

zapominaj mnie jeśli umiesz
wrócę piękna
pozbawiona szczegółów

JANUSZ SZYMAŃSKI

XII MIĘDZYNARODOWE OTWARTE WARSZTATY TEATRALNE "DIALOGI"

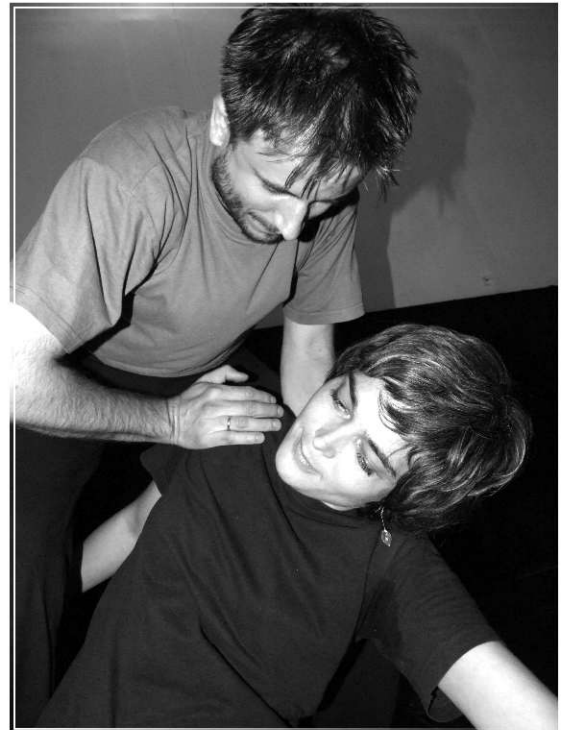
W dniach 27 lipca - 5 sierpnia 2007 roku odbyła się w Radzynie Podlaskim już XII edycja Międzynarodowych Otwartych Warsztatów Teatralnych „Dialogi 2007”. W tym roku tematem przewodnim warsztatów była piłka, finał warsztatów również opierał się na tym temacie. W wyniku kilkudniowej pracy powstał spektakl pt.: „Teatralne wariacje na temat piłki”. W warsztatach uczestniczyli po raz pierwszy instruktorzy teatralni i młodzież z Polski, Ukrainy i Niemiec; do tej pory pracowaliśmy tylko z młodzieżą. Zabrakło, niestety, współpracujących z nami od wielu lat Węgrów. Codzienna praca polegała na przybliżeniu uczestnikom tematyki improwizacji kontaktu w oparciu o pracę z piłką, a potem z partnerem i grupą. Praca z piłkami pozwoliła zapoznać się uczestnikom z technikami pracy z przedmiotem, był to także znakomity sposób na powolną drogę od kontaktu z przedmiotem do kontaktu z partnerem. Warsztaty „Dialogi” od wielu lat przybliżają młodzieży radzyńskiej świat teatru o bardzo szerokim pojęciu, pracujący tutaj specjaliści to choreografowie, reżyserzy, aktorzy, mimowie. Pomysł nie zamykania się w ramach wąskiej specjalności pozwala na poznanie świata teatru wraz z całym ogromem pracy, jaki trzeba włożyć w efekt końcowy w postaci widowiska. Spektakl powarsztatowy nie jest jednak najważniejszym punktem tych działań, sama idea warsztatu i możliwość intensywnej pracy na granicy własnych możliwości z wysokiej klasy specjalistami przyciąga do Radzyna Podlaskiego młodzież z całego kraju i coraz częściej z zagranicy.

O znaczeniu tej imprezy (i promowaniu naszego miasta dzięki niej) może świadczyć anegdota krążąca po Wrocławiu wśród reżyserów, że jeśli się nie było zaproszonym do prowadzenia warsztatów w Radzynie Podlaskim to najwyższy czas, by się o takie zaproszenie postarać. Bardzo ciekawie też zabrzmiała nazwa naszego miasta w terminarzu Iwony Olszowskiej, która przyjechała do nas prosto z Moskwy, a dwa dni

po warsztatach była już w Barcelonie. Osobiście nie mam nic przeciwko temu, by nasze miasto było wymieniane i porównywane kulturowo właśnie z takimi konkurentami.

Eksperyment polegający na połączeniu osób prowadzących grupy z uczestnikami można uznać za udany, grupa była bardzo skoncentrowana na pracy, a jednocześnie panował duch współpracy i miłej zabawy; dzięki dobrej atmosferze udało się zrealizować spory zakres programowy. Połączenie wiedzy i doświadczenia instruktorów z młodzieżową ekspresją w pomysłach teatralnych przynosiło chwilami wiele śmiechu ale i artystycznego działania. Warto tutaj podkreślić, że osoby przyjeżdżające do naszego miasta bardzo sobie cenią miejsce spotkań, czyli radzyńską Oranżerię i jej parkowe otoczenie jako doskonałą przestrzeń do artystycznych działań.

W ramach warsztatów odbył się także przemarsz uczestników przez miasto rekla-



📷 Mirosław Koczkodaj



📷 Mirosław Koczkodaj

mujących finał tej imprezy. Jak co roku, uczestnicy spotkali się z bardzo różnymi reakcjami mieszkańców. Jest to możliwość spotkania się z ludźmi zapędzonymi w swych codziennych czynnościach, którzy być może nigdy nie wybrali by się do teatru lub radzyńskiej Oranżerii, gdyby nie spotkanie z aktorami na ulicy. Warsztaty zakończyły się tradycyjnym finałem w sobotni wieczór 4 sierpnia 2007 roku. Widzowie mogli obejrzeć trzy spektakle: *Wariacje teatralne na temat piłki* w wykonaniu grupy warsztatowej (reż. Iwona Olszowska i Janusz Szymański), *Samotność* w wykonaniu teatru: „Echen” z Kraśnika (reż. Katarzyna Serwacka), *Niknę w szafie* w wykonaniu Iwony Olszowskiej i Marzeny Gorskiej (choreografia Iwona Olszowska, animacja marionetki Marzena Gorska, muzyka Pascal Comelade).

Uczestnicy tegorocznej edycji: Katarzyna Duma, Joanna Glajzer, Justyna Gumienna, Justyna Kokozka, Beata Matejczuk, Wiktoria Miszczuk, Joanna Oczkowska, Katarzyna Oczkowska, Marzena Płonka, Katarzyna Serwacka, Lilia Siutyk, Marta Streker, Anna Tomczak, Joanna Winnik, Magdalena Zylak.

Prowadzący:

IWONA OLSZOWSKA - tancerka, choreograf, instruktor. Taniec współczesny

to jej pasja. Już po raz czwarty prowadziła warsztaty w Radzynie Podlaskim. Edukację taneczną zdobywała w Studenckim Teatrze Tańca Kontrast, Uniwersytecie Alabama i George Mason w USA oraz w Calgary w Kanadzie. Realizowała projekty Liz Lerman Dance Exchange, Projekt Pandora, Projekt Polski, Powrót do tradycji (organizowany przez Śląski Teatr Tańca), Hałda oraz Więcej tańca i Taniec bez tajemnic z gośćmi teatru EST, którego jest założycielem i kierownikiem artystycznym (autorka 19 choreografii dla EST-u).

JANUSZ SZYMAŃSKI - instruktor teatralny Radzyńskiego Ośrodka Kultury, założyciel teatru ruchu Warsztat Ekspresji Twórczej, wcześniej grupy PARA II działającej przez osiem lat w Zielonej Górze przy Teatrze Lubuskim. Wieloletni wykładowca przedmiotu „Ekspresja Ciała” i choreoterapii

Sponsorzy:

Starostwo Powiatowe Radzyń Podlaski; LUBZEL Dystrybucja Sp. z o. o. Zakład Energetyczny Radzyń Podlaski; Sklep internetowy www.bogutynmlyn.pl; Pizzeria „Mamma Mia” Radzyń Podlaski; PUH „Jarek” Jarosław Tomczak



ADAM ŚWIC

XII OGÓLNOPOLSKIE SPOTKANIA Z PIOSENKĄ AUTORSKĄ "ORANŻERIA 2007" (31 sierpnia - 2 września)

Dzień pierwszy - piątek

Tradycja pierwszego oranżeryjnego wieczoru są koncerty monograficzne poświęcone któreś z wielkich postaci piosenki literackiej. W poprzednich latach były koncerty z piosenkami Leonarda Cohena, Włodzimierza Wysockiego, Boba Dylana, Agnieszki Osieckiej, Jeremiego Przybory. Tym razem wieczór był poświęcony twórczości Marka Grechuty. Jego piosenki wykonywał MARCIN RÓŻYCKI - zwycięzca konkursu na „Oranżerii” w 1997 roku. Koncert się podobał - Marcin rozwinął się jako wokalista i frontman, zebrał świetny zespół (z udziałem m.in. radzynaików - Michała Kapczuka i Piotra Bogutyna), publiczności był nadkomplet, nagłośnienie bardzo dobre, tylko... no właśnie: piosenek MARKA GRECHUTY było... 5. Wieczór składał się z autorskich piosenek Marcina i tylko ostatnie 25 minut poświęcono niedawno zmarłej gwiazdzie polskiej piosenki poetyckiej, a publiczność miała prawo liczyć na więcej. Ponoć zabrakło czasu na przygotowanie całego materiału z zespołem. Nadrobienie tych zaległości Marcin zapowiedział jesienią, ale wtedy trudno będzie w Radzynie o tak dobrą frekwencję. Szkoda, bo mógł to być naprawdę znakomity wieczór.

Dzień drugi - sobota

W przesłuchaniach konkursowych wystartowało 15 wykonawców (z Warszawy, Kozienic, Kutna, Łodzi, Biłgoraja, Ełku, Wydmín i Siedlec). W jury same gwiazdy: Ernest Bryll, Jan Poprawa i Jan Kondrak. Poziom dość wyrównany, nie było wpadek, choć zachwyty też zabrakło. Publiczność była zgodna z werdyktem jury: GABRIELA LENCKA to największa indywidualność konkursu. Panuje nad materią muzyczną i potrafi w pozornie prostych tekstach zawrzeć mnóstwo emocji. Drugie miejsce zajął JACEK GUTRY, który występował już na „Oranżerii” przed czterema laty. Jego poetyka odwołuje się do konkretności codzienności, którą komentuje nie bez poczucia humoru. W rozmowie przyznał, że jego mistrzem jest Wojciech Młynarski.

Wieczór należał do ANDRZEJA SIKOROWSKIEGO i jego córki MAI. Kto przyszedł na ich koncert na pewno się nie zawiódł. Nie

zabrakło przebojów Pod Budą, zespołu, którego liderem na co dzień jest pan Andrzej. Podobał się też materiał z płyty Mai. Rodzinny duet wzruszył i zachwycił.

Dzień trzeci - niedziela

Po południu jak zwykle koncert laureatów i wręczenie nagród. Niedzielnny wieczór zazwyczaj wypełniał koncert największej gwiazdy - tym razem było inaczej (ze względu na sobotni wolny termin Andrzeja i Mai Sikorowskich). Wystąpiła GRUPA WITKA ŚWIĄTCZAKA i ten koncert trudno określić inaczej jak nieporozumienie. Po raz pierwszy od lat na „Oranżerii” sala była wypełniona zaledwie w połowie. Być może wpływ miała na to odbywająca się tuż obok konkurencyjna impreza, czyli dożynki. A może oranżeryjna publiczność niewiele się po zupełnie anonimowych wykonawcach spodziewała. I, jak to zazwyczaj bywa, miała rację.

Protokół z posiedzenia jury XII Ogólnopolskich Spotkań z Piosenką Autorską „Oranżeria 2007”

Jury w składzie: Ernest Bryll przewodniczący, Jan Poprawa i Jan Kondrak po wysłuchaniu 15 wykonawców postanowiło przyznać nagrody ufundowane przez samorząd powiatu radzyńskiego

I w wysokości 750 zł - Gabrieli Lenckiej z Warszawy

II w wysokości 500 zł - Jackowi Gutremu z Warszawy

III w wysokości 350 zł - Markowi Królowi z Biłgoraja

Ponadto przyznano dwa wyróżnienia po 200 zł - Joannie Mioduchowskiej z Warszawy i Piotrowi Kajetanowi Matczukowi z Ełku. Wyróżnienie w postaci zaproszenia do koncertu laureatów otrzymał Tomasz Salach z Siedlec. Nagrodę im. Agaty Budzyńskiej - statuetkę Aniolka - za poszukiwanie optyimizmu w literaturze wysokiej otrzymała Joanna Mioduchowska.

Nominację do finału Studenckiego Festiwalu Piosenki w Krakowie otrzymali Gabriela Lencka i Piotr Kajetan Matczuk.





JACEK GUTRY

Między piętrami

Stałem na schodowej klatce,
 Na parterze, gdy zjechała winda,
 Niosłem gazetę w siatce -
 Na okładce: Bogusław Linda.
 Do windy wsiałem z kobietą-cud.
 Ruszamy... Nagle winda staje!
 Dzięki Boguś za szczęścia łut!
 Mówię do niej: „Coś mnie się zdaje...”

 Że stojąc między piętrami
 Jesteśmy sami
 Ci, co są od spodu,
 Odwracają się i z klatki cichcem
 chodu!
 Dla tych, co są ponad,
 Jesteśmy jak eksponat.
 Może lepiej na półpiętrze
 Odkrywać swoje wnętrze?

Otworzyłem przed nią duszę,
 Mówiłem o mrówce na torze,
 Wyznałem, że się duszę
 W szczęścia symulatorze.
 Jej oczy płonęły z podniecenia,
 Gdy wspomniałem, żem Muzy adeptem.
 Poczułem, że się zarumienia
 Po chwili przemówiła szeptem:

 Stojąc między piętrami
 Jesteśmy sami...
 Ci, co są od spodu,
 Odwracają się i z klatki cichcem
 chodu!
 Dla tych, co są ponad,
 Jesteśmy jak eksponat.
 Może lepiej na półpiętrze
 Odkrywać swoje wnętrze?

Gdy dotarłem do mieszkania,
 Włączyłem TVN24,
 Podobno Polak się wskaźnikom nie
 kłania,
 Ale wzrostu - ni cholery!
 Ja, średniak na mieliźnie,
 Nie bogaty, nie całkiem w nędzy,
 Śpiewam swej Ojczyźnie,
 Żyjąc pomiędzy

Stojąc między piętrami
 Jesteśmy sami
 Ci, co są od spodu,
 Odwracają się i z klatki cichcem
 chodu!
 Dla tych, co są ponad,
 Jesteśmy jak eksponat.
 Może lepiej na półpiętrze
 Spojrzeć w swoje wnętrze?

ARTUR ZIONTEK

Instytut Filologii Polskiej Akademii Podlaskiej

LIW I ETERYCZNE PASAŻE

Jak dotąd, a miejmy nadzieję, że to dopiero początek, Muzeum Zbrojownia na Zamku w Liwie wydało dwa tomiki poetyckie; w jednym roku (2006), niemal dokładnie w tym samym czasie. Razem też miały swe promocje (pisał o tym Artur Rogalski w „Kozimrynku” 2007, nr 1). Dla obojga autorów są to drugie książki poetyckie, oboje też mają za sobą publikacje w kilku literackich periodykach i nagrody w konkursach. Na tym jednak koniec miejsc zbieżnych. *Eter* Roberta Koncy i *Pasaże* Izabeli Filipek to dwa zdecydowanie inaczej wypowiedziane obrazy własnych doświadczeń i zapisów bycia. Właściwie wszystko jest tam inne: witalność, aksjologia, postrzeganie, pryzmaty patrzenia na ten sam przecież świat, doświadczenia i emocje... A mimo to, mimo tych różnic, jest w owym zestawieniu coś oczywistego i pasjonującego, pojmanego intuicyjnie a niemożliwego do nazwania.

Oba tomy ukazują pewną całościową, jednolitą i autonomiczną dla siebie konstrukcję podmiotu lirycznego. Toteż stają się one rozbudowanymi wypowiedziami, opowieściami o doznaniach codzienności (z jej rutyną na czele), uniesieniach, emocjach, porażkach, wygranych... słowem o wszystkim, co towarzyszy bezwiednie, i właściwie niezależnie od podmiotu, wypełniającej się - jak oddawał to Piotr Szewc - „Księżde Dnia”. Każdy ów dzień powszedni, nie będąc wyjątkowym, niby nie wyróżniając się niczym od każdego innego dnia tygodnia, miesiąca, roku czy życia, poprzez doświadczone, staje się przynajmniej na chwilę zapamiętany.

Podmioty obu tekstów pochłonięte są światem, który je otacza. Każde kolejne strony tomików to wyraz rzeczywistości. Nie ma tu jakichś patetycznych rozważań nad istotą, sensem bytu jako bytu. Nie jest to poezja ontologiczna. Niemniej mamy w obu przypadkach do czynienia z tekstami głęboko kontemplacyjnymi. Tyle, że nastawionymi na egotyczne zgłębianie siebie. Poznawanie i skrupulatne oddawanie

poznane słowem. To jednak, co zdecydowanie odróżni od siebie formę podawczą, to diametralnie inne percypowanie podmiotów obu książek. Oba pochłonięte są światem, ale oba inaczej go wchłaniają. Przedstawiają dwie różne kondycje emocjonalne i mentalne. Czasem więc zadziwiają różnobarwność świata, wszak jest jeden a tak różnie odbierany. Różnie też owe dwa poetyckie wnętrza zakorzeniają się - idąc za Simone Weil - i odnajdują przynależnościowo pośród tego, co je otacza.

Konca dość często daje sygnały wyobcowania, niemal na poły schizofrenicznego obcowania z Innym (*Pozdrowienie*), „który potrafi wynurzyć się znikąd/ na tym przemijającym świecie” (*Obecność*). Nawet w momentach rodzenia się przelotnej nadziei, gdy mogłoby dojść do chwilowego choćby pogodzenia, brutalny obraz wspomnień czyni z tej nadziei slogan, hasło brzmiące sarkastycznie i ironicznie:

"Świat jest taki piękny
Uśmiecham się do wszystkich
I wiem że nikt
Nie potrafi mnie skrzywdzić
Na szczęście coraz rzadziej
Pamiętam o tym że jestem
Sześciokrotnie zgwałconą córką milicjanta
Chorą na schizofrenię"

(*Agnieszka*, s. 19)

Z drugiej strony jednak, podmiot ów, dając odetchnąć dokonywanej przez siebie swojej ontologicznej kronice kryminalnej, chętnie bywa też wędrownym skrybą, z pasją spisującym zasłyszane historie towarzyszy podróży. Towarzyszy przelotnych i równie mało istotnych - z punktu widzenia historii, a nie doczesnego przemieszczania się - jak sama podróż. Tak właśnie jest w przypadku tytułowego Mariana spotkanego „w pociągu relacji Siedlce-Warszawa”. To, co w jakiś sposób mogło się wydać interesujące w nim, to fakt, że on także przyznaje się do swej schizofrenii. Dla

podmiotu staje się więc naturalnym przedmiotem obserwacji. Powtarzalność klinicznych przypadłości bohaterów opisu daje wrażenie fascynacji wspomnianą wyżej innością. Wnioskowanie prowadzonych w tomiku obserwacji, daje w jakiś sposób odczuć, że kategoria inności jest/byłaby chętnie przyswojona przez podmiot liryczny, który zdradza pokątnie, iż tak tylko można by uzyskać satysfakcjonujący stan alienacji. Satysfakcjonujący, choć nie do końca upragniony. Jest bowiem wynikiem genezyjskiego rozpoznania takiego właśnie stanu rzeczy:

I oddzielił Bóg swoją wolę
Od woli umysłu
I tchnął weń emocje
Wyobraźnię
Obłąd

Umysł walczący przeciw sobie
Zbudował labirynt
I teraz czeka na swe wyzwolenie
Na Tezeusza który przyjdzie z mieczem
(*Genesis*, s. 31)

I niby byłoby można znowu odnaleźć nadzieję. Wszak przywołany tu motyw dzielnego Tezeusza kroczącego po tajemnicach labiryntu łączy się nieodmiennie z nicią, którą Ariadna dała mu jako pomoc i wskazówkę. Wszak tu także pojawia się nić. W jednym z *listów człowieka do Boga* (s. 33), czytamy: „kieruję te słowa do Ciebie / któryś rozwinął nić”. Próżno jednak i teraz odnaleźć się, nawet ze świadomością i rozpoznaniem Tego, który rozwija nić, jako swoisty drogowskaz; pokazuje jak wyjść. Ten zwłaszcza 'list' będzie najbardziej doniosły dla wymowy całego tomu. Natychmiast bowiem przywołuje kapitalny kontekst XVIII-wiecznego dyskursu filozoficznego podjętego przez trwającego w demonicznej legendzie markiza de Sade.

"mówię do Ciebie a w moim
głosie dźwięczy nienawiść"
(z *listów człowieka do Boga*, s. 33)

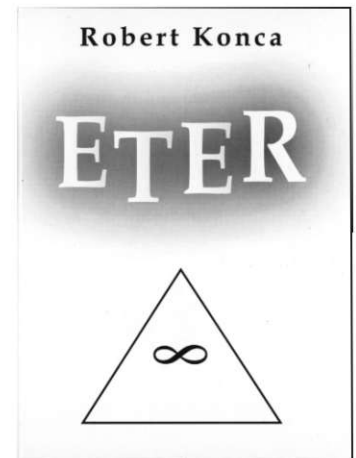
wola głos z *Eteru*. De Sade, któremu często za-

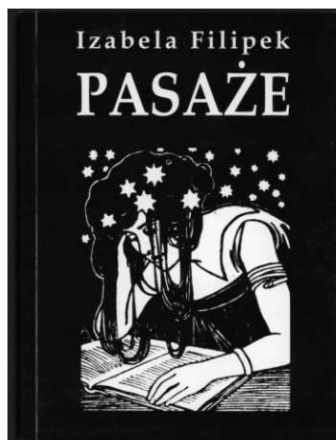
rzucano ateizm, nigdy nie kwestionował istnienia Boga. Starał się prowokować, by móc na własnej skórze doświadczyć Bożej kary. Tak mógłby w końcu rozpoznać Boga, jako sprawiedliwość. W eseju *Fantomy*, jakże podobnym w wymowie do utworu Koncy (choć zdecydowanie bardziej ostro), de Sade pisał:

"Istoto dziwaczna i prózna, której samo imię leje więcej krwi na powierzchnię ziemi, niż jej rozlały wszystkie wojny z pobudek politycznych wracaj do nicości, skąd miały odwagę Cię wywieść (niestety) obłąkane nadzieje ludzi i śmieszny ich strach! Zjawiłeś się tylko dla udreki rodzaju ludzkiego. Ileż zbrodni oszczędzono by na ziemi, gdyby zarżnięto pierwszego imbecyla, który wpadł na pomysł mówienia o Tobie. Unieś się gniewem jeżeli istniejesz"

(tłum. Antoni Czyż).

Dopominając się o kwestie uniwersalne, w części i historyczne, de Sade przemawia jakby w imieniu ogólnoludzkiej społeczności. Konca, bardziej egotycznie, pyta o to, co w jakiś sposób się z nim wiąże: o siebie samego, o napotkanych nieszczęśników, o sytuację, którą *on* obserwuje itd. Zaznaczyć jednak trzeba, iż myślenie lirycznego bohatera tych poezji o Bogu, nie kończy się na stawianiu zarzutów i pretensjach (rewelacyjny, zdaniem piszącego te słowa, jest choćby jeden z kolejnych „listów” zaczynający się od inc. „...widziałem dziś Twoją Matkę...”, s. 38). Na tym też polega w jakimś stopniu taki bardzo ludzki wymiar tej poezji - tu dosadność głosu, przyjmowany ton wypowiedzi, zależne są od nastroju. Toteż podmiot tekstów jawi się z czasu jak mały, targany skrajnymi emocjami chłopiec,





któremu trudno dorosnąć.
Odmienne funkcjonuje liryczne ja w *Pasażach* Izabeli Filipek. Charakter tekstów jest podobny do tego, z czym mieliśmy do czynienia w przypadku Koncy. Niemniej, diametralnie innych jest jednak ich klimat.

Pasaże pokazują - co zresztą znakomicie adekwatne to tytułu tomiku - ciąg zdarzeń, obrazków, sytuacji, obok których trzeba przejść niemal każdego dnia by ten się spełnił. Oto więc przed czytelnikiem otwiera się niezwykła panorama, powiemy - jak w przypadku Koncy - codzienności, ale jakże odmiennej, jakże innej niż, ta która staje się udziałem poety siedleckiego. Filipek nie wojuje, nie toczy batalii ni światopoglądowych, ni mentalnych, ni metafizycznych tym bardziej. Przestrzeń wypełniającej się „Księgi Dnia” to zajęcia niemal rutynowe, ale jakże kojące w swej wymowie.

"Lubię kiedy w domu
pachnie dzieckiem
jest kobieta
i
mężczyzna
znów tak samo
odbywa się rytuał
zmęczonego dnia
jest miłość
wtopiona w szybę
wzajemne
marzenia i tęsknoty"
(***, s. 12).

Jak łatwo zauważyć, nie jest to też jednak puste, wyzute z emocji przyzwolenie na fredrowskie „niech się dziej wola nieba”. Tu ewidentnie ujawnia się radość zwykłości. Taka swoista praktyczna realizacja teorii średniości Krzysztofa Gruse, wyzwalającej spod jarzma „rozentuzjasmowywania” się tylko tym, co odległe w jedną bądź drugą

stronę od tego, co średnie, codzienne właśnie. Z drugiej jednak strony unaocznia się tu jakby misterium codzienności.

"Usiądę gdzie chcesz
byle blisko ciebie
byleby tylko
wiedzieć
że
jesteś"

(***, s. 14)

Taka pewność da bowiem w efekcie poczucie kojącego bezpieczeństwa. Każdy dzień i chwila stają niemal mszą, aksjologiczną celebracją wtopienia w dom. To tam można się wspólnie „domowić”, „brzuszyć”, „rączyć” itd. Dom staje się miejscem, w którym - jak trafnie obserwował to Mirosław Żuławski - „kiedy budzimy się nocą [...] poruszamy się po nim po ciemku nie rozbijając o meble i ściany, trafiamy w drzwi i niewidoczne klamki, bo wiemy, gdzie co jest i gdzie co stoi, jednym słowem jesteśmy u siebie” (*Album domowe*. Warszawa 1997, s. 277). Najbardziej więc pasjonujące staje się dla podmiotu obserwowanie najbliższych. Obserwuje rodzinę, swoje małżeństwo - bo też, dodajmy, jest w tej poezji coś pogranicznego między otwartością i nieskrępowaniem a ekshibicjonizmem - i daje prawie że pamiętnikarski zapis utrwalający stan bycia. Zapisany wiersz staje się zapisem egzystencji, śladem istnienia konkretnego podmiotu. Istnienia pośród może niezmiennych, lecz jakże barwnych pasaży.

To, co warto podkreślić na koniec to fakt, iż niezwykle istotny przy lekturze jest koncepcyjny namysł nad doborem tekstów w obu tomach i ich układ. Podmiot Koncy, jak i tomik, jest nierówny, bywa rozchwiany i chybliwy, u Filipek zaś stonowana i statyczna (w dobrym rozumieniu) postawa podmiotu pozwala na konstrukcję lekką i zwiewną, niemal delikatną i jednak ciekawszą artystycznie.

Robert Konca, Eter, Liw 2006; Izabela Filipek, Pasaże, Liw 2006





ARTUR ROGALSKI

Imperium

wyjrzeć zobaczyć co za murem
 potem iść do krańców miasta
 zakreslić na mapie miejsca przyjazne i
 wrogie
 z błogą nieświadomością ich
 prawdziwego przeznaczenia

na nikogo nie czekać
 gdy upał wędruje aleją drzew
 czas od brzasku do pierwszej gwiazdy
 na razie pozbawiony konieczności
 więc nie myśleć co nastąpi

droga wschodnia
 na jasnych ścianach zawieszono
 marzenia
 z pasmem łąk
 drzewem
 ciemną linią lasu
 w szklane otchłanie
 gdzie trzęsawisko młodego wina
 wpadają rozżarzone krople laku

droga północna
 chwila odpoczynku
 kiedy nad dachami
 dzień i noc
 układają tajemnicę następnego dnia
 w zrozumiały plan

droga południowa
 mglista zapowiedź przyszłości
 snuje się w labiryncie murów
 ulatuje w niebo z gwizdem parowozu

droga zachodnia
 jeszcze nie istnieje

tam gdzie przecinają się drogi
 na zawsze wpisany w okrąg środek
 ślepa ściana kamienicy
 i stado gołębi na niebie

DARIUSZ MAGIER

CO GRYZIE TOMKA ROLKO?

Późnym latem 2007 roku światło dzienne ujrzały dwa tomiki wierszy Tomasza Rolko, są to, wydane własnym sumptem autora: reedycja *Iskry kłamstw, iskry prawd*, tytułu, którego pierwsze wydanie miało miejsce rok wcześniej, oraz *Zjednoczone lekcje życia*. Wydawnictwa zawierają w sumie niemal czterdzieści utworów i można zaryzykować twierdzenie, że stanowią wizytówkę dotychczasowego życia twórczego młodego (pokolenie stanu wojennego) włodawianina.

Poezja Tomka Rolko to wiersze-obrazy i nie ma w tym nic zaskakującego, jako że jego zainteresowania to swoista *ekumenia* poezji, fotografii, grafiki i malarstwa. Zatem, gdy czytamy wiersze kreatora grupy poetyckiej Black Angel, przed oczami wizualizuje się nam świat, w którym porusza się również podmiot liryczny. To pomaga czytelnikowi w percepcji tej, niełatwej przecież, twórczości, którą można by określić mianem ascetycznej. Rzeczywiście, jest w tym jakiś romański pierwiastek oszczędnej formy wczesnego średniowiecza.

Autor zdaje się nie narzucać, snuje swój oszczędny przekaz, stawia frazy konieczne, wieloznaczne, dużo pozostawia domysłowi czytelnika i jego zmysłowi interpretacyjnemu.

Iskra kłamstw, iskra prawd, który to tytuł zapożyczony został z wiersza rozpoczynającego tomik, już na samym początku uderza nas tym średniowiecznym, scholastycznym, epitaficznym niemalże, tchnieniem w postaci utworu *Piękności mistrza*. I już na tym etapie przychodzi do głowy pytanie o ducha tego średniowiecza, czy bliski on Doktorowi Anielskiemu czy raczej kacerskiej iskrze burzącej. Niepodobna odpowiedzieć na to jednoznacznie nawet po lekturze całego tomiku. Rolko prowadzi niewątpliwie intensywne poszukiwania, które targają nim od namiastek panteizmu w utworze *Rzucany wiersz* („Pamięć po człowieku/ pamięć po jaskółce/ po kamieniu”), po elementy nietzscheańskiej

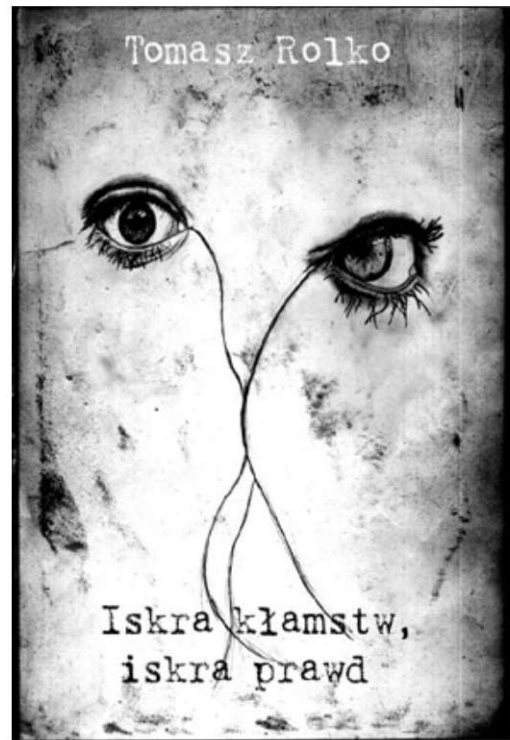
idei śmierci Boga, które tkwią w *Śpiącym czarodzieju* („światło miłości jako metoda,/ okazywania współczucia śpiącego czarodzieja”). Te poszukiwania, tak przecież charakterystyczne dla młodości, w twórczości włodawianina zdają się przerażać w odwieczną walkę dobra i zła, która w poetyce Tomka Rolko przybiera formę powtarzających się ciągle zmagania światła i ciemności, dzieciństwa i dorosłości, trwania i przemijania, ducha i materii. Podmiot liryczny stoi na granicy dorosłości i zdaje sobie sprawę z tego, że oto wychodzi poza bezpieczną strefę, tam, gdzie czyhają złe moce. W wierszu *Obraz z dzieciństwa* miniony etap życia jawi się rajem utraconym, jak ta huśtawka, co to „Smutek wypływa z jej wnętrza/ gdyż żadne dziecko nie uraczy jej/ swoją zabawą”. Wyraźna artykulacja przekraczania granicy dorosłości to także wiersze *Kwiatek życia* i *Dzień dusz*. Utrata raju dzieciństwa, podobnie jak tego przez duże R, wiąże się z uzyskaniem świadomości, choć dysonansem musi być tu jednak atmosfera wygnania. Wyraźnie czuć ją w *Przemijaniu*, który to utwór jako pierwszy w całym zbiorze artykułuje jednoznaczne opowiadanie się po stronie światła w jego walce ze złym mrokiem. Aczkolwiek to ono odkrywa całą prawdę o rzeczach nieprzyjemnych: „Zegar wybijający:/ sekundy szczęścia/ minuty rozmów,/ godziny miłości./ Dzień, wieczór, poranek”. Ale światło, jak czytamy w wierszu *Cień*, choć okrutnie realne, jest wolnością, która „daje wybór”, i nadzieją, która „daje możliwości”. Cień zaś niszczy życie „jak ogień”. Również jak ogień piekielny, który niszczy życie wieczne. I może się okazać, że nie zawsze „jutro będą na górze”. Rolko wie jednak o tym i dzieli się swoimi uczuciami z czytelnikiem (*Wieczne myśli*): „Twarz skruszona daje znaki zapytania/ dla lepszego poranka./ Twarz miłosierna daje/ wykrzykniki dla uśmiechów”. Wie, że nie ludzka to zasługa, lecz „Boski dar życia”. Bóg jest Źródłem, „Płomieniem”. On jest! I znowu, nie wiedząc czy ocieramy się o herezję panteizmu czy też czystą ortodoksję, przytakujemy jednak gorliwie,



że Płomień to źródło, to światło, to życie, dzięki któremu: „Biegnę, patrzę, czuję”. Kolejną odsłoną walki dobra ze złem są w wierszach Tomka Rolko zmagania uczuciowości i rozumu. Człowiek targany uczuciem to dlań (*Kropla*) „kropla deszczu ubrana w płaszcz marzeń”, która pędzi „w kierunku bliżej nieokreślonym”. Bez myśli, bez rozsądku, bez świadomości Bożego planu, na oslep, by w końcu „rozbić się o tafelę kałuży”. Oto ślepa uliczka owej, tak modnej dziś, straceńczości, którą redaktor „Ściany Wschodniej” widzi również w miłości: „Los oddychający swoim chłodem/ złapał za rękę marzenia./ Poprosiłaś by puścił./ Puścił, lecz spalił nasze dusze” (wiersz bez nazwy). Z drugiej strony niedopuszczalna jest całkowita dominacja rozumu nad sercem. Również w tej dziedzinie zbawcza wydaje się owa błogosławiona równowaga, choć czasami nasze poczynania rozum będzie rejestrował - jak to rozstanie dwojga osób w wierszu *Serce na rozstaju* - jako „niedokończoną scenę z podrzędnego filmu”. Stąd w wierszach Rolko znajdziemy sceny gwałtownych miłosnych tąpnięć (*Znikająca miłość*), czy pękającego nieuchronnie związku, w którym „Uśmiechnięta twarz patrzy/ wzrokiem kochania/ Płacząca twarz patrzy/ wzrokiem rozstania” (*Mysł jednością jednego spotkania*). Tytuł wiersza, jakby żywcem wyciągnięty z dyskografii zespołu Myslowitz (to zresztą nie wyjątek), nie jest tu jedynie przelotną manierą. Utwory zebrane w tomiku *Iskra kłamstw, iskra prawd* to bardzo „muzyczne” wiersze. Dźwięczą w głowie, zdają się wypełniać przestrzeń. Słyszymy niemal, jak „Kwiatek spada na ziemię/ W swoim locie:/ uśmiecha się,/ bawi,/ rozmawia,/ uczy,/ starzeje,/ opada z drzewa życia” (*Kwiatek życia*).

I wszystko byłoby jasne, gdyby nie ten przerażający demoniczny chłodem (przynajmniej w dwóch pierwszych, skądinąd jakże udanych, zwrotkach) wiersz *Na imię miała „Zima”*. *Iskra kłamstw, iskra prawd* to całkiem spójny tomik, dobry na „Wymarzony wieczór pamiętany nie tylko w słowach/ lecz i w czynach” (*Na imię miała „Zima”*).

Przez dwa lata mieszkałem w jednym pokoju z



fanem (fanatykiem?) The Cure, stąd wiem co nieco o mrocznej stylistyce, nihilistyczno-gotyckiej formie i samounicestwiającym przekazie tej muzyki. „Kłęczę i czekam w ciszy” - cytat z „Kurczaków” - to post-motto najnowszego tomiku założyciela grupy poetyckiej Black Angel. Znak to, że mamy już do czynienia z twórcą, który wie, co chciałby przekazać. Czy jednak wychodzi to na dobre? Czy wie również, jak to przekazać? Od razu wyjaśnię, że *Zjednoczone lekcje życia* to dla mnie tomik słabszy od poprzedniego. Mniejsza spójność utworów, rwana „fabuła”, szczątki myśli, fraz, czasów, osób, stylistyka snu, która wiadomo ma swoje prawa. Wszystko to znajdziemy w otwierającym kolejną przygodę z poezją włodawianina wierszu *Kielich snów*. Jednocześnie pragnę zauważyć, że znalazłem w tym wydawnictwie również najlepsze wiersze spośród wszystkich utworów opublikowanych w obu zbiorach. Na przykład *Wiara*. Dlaczego? Może dlatego, że ideowo poszukujący. Zrazu zastanawiałem się czy nie powinien się znaleźć raczej w tomiku *Iskra kłamstw...?* Jednak nie. Ten, ale również inne wiersze zebrane w *Zjednoczonych lekcjach życia*, to jednak wyraźny rozwój poety. Z tego również może wynikać stopień komplikacji tej poezji, który

zdaje się rodzić problemy percepcyjne. Do tego znacznie większe rozchwianie ideowe autora, który wydaje się już mniej jednoznaczny w swym światopoglądzie. O ile *Wiara* stanowi jeszcze bliską memu sercu krytykę zsekularyzowanej cywilizacji Zachodu („Prawdziwych ust nikt nie/ dotknie/ a w bok wsadzić rękę?”), to w *Umieram*, stanowiącym niejako paralelny dwuwiersz z poprzednim, w podmiocie lirycznym brać górę wydaje się *grzech humanitaryzmu* głoszący, że jedynie na podstawie stosunków z bliźnim zarysować można wizerunek Boga, w którego wierzymy. Jak gdyby miały być On efektem, a nie podmiotem działań: „Ile odwzajemnionych/ uśmiechów Bóg/ zapisze w wieczystej księdze// ile smrodu wybawi szatana/ z jego duchowej udręki/ ile grzechów/ stanie się wzorem// wzorem nie do naśladowania/ wzorem do pogrzebu/ w trumnie zapłacę/ i wyjdę w pieklach czasu”. Oto człowiek staje się alfą i omegą bogiem samemu sobie.

Rolko już nie stoi na granicy skonfliktowanych stron, tak jak robił to w *Iskrze klamstw...*, z poziomu której dokonywał obserwacji wrogich sobie obozów. Teraz już zapuszcza się to na jedną to na drugą stronę. Horyzont mu się niby powiększa, ale też dopada go propaganda obu frontów. W intymno-uczuciowym *Sercu na rozstaju* podmiot liryczny wręcz nie wydaje się już błędzić. Sprawia wrażenie jakby już wybrał - ŻŁE. To zdaje się potwierdzać kolejny wiersz o uczuciach damsko-męskich (*Sercowe*), w którym poeta daje się porwać uczuciowości i ogarnia go „sercowe poczucie szalu”.

Z drugiej strony mamy jednak również *Hymn popkulturowy* demaskujący gnijące świętości ponowoczesności i ślepotę jej przewodników. Oto niezbędni, w które jako adepci tej cywilizacji zostaliśmy wyposażeni, zostają utracone: „Moja wewnętrzna/ zbrodnia/ Chrystusowej/ stajenki/ panicznie przeobrażonej/ w nic”. Ale to tylko zapowiedź prawdziwej kulminacji, którą jest (również szczytowy ekspresyjnie) wiersz *Hymn popkulturowy - zero*. Skażenie popkulturowe wykrywa wizerunek Chrystusa, który przeobrażony zostaje w gwiazdora popu na pulsującej hałasem i światłami estradzie. I nie chodzi tylko o świecką kulturę masową, wystarczy pójść

do kościoła na co bardziej modernistyczną mszę, by się o tym przekonać. To wszystko sprawia, że zaczynamy oglądać rzeczywistość w odbiciu wprost z lunaparkowego gabinetu luster, które czynią nas nierzezywistymi. Najprostsza, najkrótsza, najłatwiejsza droga do Prawdy zarasta chwastami. Ludzkość dopada przekleństwo kultury masowej, która przerodziła się niemalże w masowy kult. Błądzimy ze świadomą samokrytyką na ustach („chwila mi depczę krzyże/ stopami brudnymi/ wchodzę w jego serca/ jestem grzesznikiem/ człowiekiem czasów/ przebrzydłych”) po duchowej Ziemi Ulro niczym jacyś zapomniani postheglowscy zombie („niech świeci tylko oczami/ zbłądzonymi pewnikami/ przemijania// narkotycznym transom/ czystego ukłucia”). Wykluwa się prawda o całkowitym zinstrumentalizowaniu Boga przez człowieka. Do bólu niemal fizycznego, do przesady, do granic wytrzymałości. Prawda wypływa na wierzch: „On sam i nic poza tym” (*Sen Zbawiciela*). Mamy tu również nawiązania eschatologiczne mówiące o mrocznym swądzie pustego życia (*Wszyscy wszystkim*). W całej krasi pojawia się coś, co jedynie nieśmiało zarysowywane było w tomiku *Iskra prawd...*, ów radykalny, bo prawdziwy, podział na cywilizację życia i cywilizację śmierci. Poeta widzi, że obywatele tej ostatniej to „plemię pogrzebów”, „trupy śladotwórcze” i „mężowie stanu zgniłego ducha”, którzy nawet wówczas, gdy zajrzy im w oczy strach przed piekłem, znajdują tylko jedno wyjście ucieczkę w konsumpcjonizm („uczyni z życia show”).

Nawet związki damsko-męskie wpisane są w tą permanentną, toczącą się zarówno na poziomie transcendentnym jak i ziemskim, walkę cywilizacji. Wiersz *Litania uwielbienia*, traktujący o zbliżeniu cielesnym, zaczyna się w momencie, w którym erotyki gloryfikujące cielesność zwykle się kończą. Nie kończy się jednak wędrówka zapoczątkowana grzesznym aktem seksualnym, bo „serce dajesz/ zabierasz sny/ w podzięcie za wybredny/ obrzydliwy wstyd/ nagich ciał/ gdzie lepkość rąk/ przekracza granice/ dobrego smaku”. Nie ma miejsca na happy end, „Ślubu nie będzie”. Miłość ludzka w wierszach Tomka Rolko daleka jest od tak modnego dziś

fetyszizowania, od gloryfikowania, niby-nadrzędności, niby-najważniejszości, niby-wieczności (*Lekcja chemii 2*). Poeta wie, że to tylko owa „chemia”, a nawet najdłuższe lekcje chemii jednak się kończą. Oto syndrom dziesięciu minut do końca lekcji, „gdy z pulsującym sercem na rękę/ wkraczam w martwicę próśb/ wędnącym wzrokiem/ kochania”. Wiemy już, co się stanie, choć nie dopuszczamy do siebie myśli o tym.

Jednakże Rolko nie zadowala się etapem obserwacji. Bunt przeciwko tchnącej śmiertelnym odorem mas-kultury może zaowocować reakcją, przerodzić się w wewnętrzny imperatyw działania, kiedy (*Furia mistrza*) pojawia się owe „skacz skacz” ponad śmiertelną pustką jałowości argumentów za trwaniem w obłudnej nicości („masz tysiąc słów zero/ pomysłów”); ponad *małą stabilizacją* wyrzucia z indywidualizmu w oceanie trendów („skacz skacz sercem”); ponad śmiertelną cielesnością trwającą na pozycjach auto-kłamstwa powielającą matrycę zbudowaną przez projektantów, strażników i *pożytecznych idiotów* cywilizacji śmierci („skacz skacz przez fale/ kłamstw i pomówień/ skacz skacz ponad ciałem”). *Furia mistrza* to wiersz dynamiczny, drżący emocjami, prawdziwy manifest.

Zjednoczone lekcje życia jest tomikiem bardzo różnorodnym, w którym znalazło się także miejsce dla utworu w stylistyce polskiego literackiego misterium (*Lament ogólnopolski*), podejmującego temat demoniczności życia społeczno-politycznego głęboko zanurzonego w historii naszego kraju. Polak, zawieszony pomiędzy wirtualnym światem „politycznych płaszczek”, rzeczywistym krajobrazem przenicowanym tragiczną historią („krwią ożłocony/ sztyletem sprzedany”), gdzie człowiek, niby ta Tomaszowa trzcina na wietrze, targany namiętnościami („gdzie ślepe miłości mnie wiodą?/ czy na skraj bożej układanki?”), których celu nie może znać, choć chciałby uszczknąć z tej polskiej układanki kilka fragmentów puzzli również dla siebie. Nieśmiało zdaje się marzyć, że nie tylko dla siebie, bo oto w ponadindywidualistycznej tragedii „znowu ty/ zjawa myśli/ brzegu dotyk”. I polska niepewność drogi wyboru:



„gdzie ta droga wiedzie?/ do lepszych światów?”

W *Symfonii umierania* Tomek Rolko uzewnętrznia w końcu dręczącą go różnicę między pożerającą ludzi ideą a prozą ich życia i wiary, kiedy „wierni ku wiernym/ pochwalon Boga/ lecz zabijając innego/ przedstawiciela gatunku”. Z czego wynikać może wszechogarniające uczucie zmęczenia i zniechęcenia walką, zaangażowaniem, nawet wiarą (*I snu*), ku ucieczce w niebyt, w ślepe uliczki różnych dalekowschodnich nirwanizmów „czasu dla czasu”. Ta końcówka *Zjednoczonych lekcji życia* rodzi we mnie uczucie nieprzyjemnego zgrzytu, bo sprawia wrażenie, jakby wojna była już przegrana. Miejmy jednak nadzieję, że to tylko rozejm. Klęcząc czekajmy w ciszy na ostateczną bitwę.

Tomasz Rolko,
Iskra kłamstw, iskra prawd (Włodawa 2006);
Zjednoczone lekcje życia (Włodawa 2007).



HUBERT CZARNOCKI

FOE

Susan Barton płynie z Brazylii do Lizbony po nieudanych poszukiwaniach porwanej, jak twierdzi, córki. Wkrótce załoga podnosi bunt, a Susan trafia nieznaną wyspę. Wyspa okazuje się zamieszkała przez niemego czarnoskórego Piętaszka i jego pana Kruzo. Kobieta spędzi tam rok, zanim dla całej trójki nadejdzie pomoc. „Taką historię powinnaś Pani spisać i zaoferować księgarzom” nakłania ją do opisanego tego, co przeżyła na wyspie, kapitan okrętu, który uratował rozbitków. Susan nie zna sztuki pisarskiej, więc szuka pomocy u pisarza, niejakiego Foe. Bohaterka pragnie, by ktoś pomógł jej opowiedzieć prawdę, natomiast Foe chce stworzyć dobrą

powieść. Czy da się powiedzieć prawdę w powieści? Czy da się napisać prawdę, a jednocześnie ciekawą powieść? Autentyczność nie jest przecież w literaturze pięknej wymogiem. Dodatkowo pojawia się też problem przepaści między przeżytym a opisanym, doświadczonym i zaświadczone. W powieści pobrzmiwają również typowe dla postmodernizmu rozważania o różnicy pomiędzy słowem, a tym co ono oznacza. Bo *Foe* to przecież powieść postmodernistyczna. To gra ze znaną nam wszystkim powieścią Daniela Defoe *Robinson Crusoe*. To także przenikanie się fikcji i rzeczywistości, tekst wielopłaszczyznowy i tajemniczy. Wciągająca łamigłówka wywołująca różne pytania: Kto tak naprawdę żyje w tej powieści, a kto umiera? Kto (a może raczej co) jest córką Suzan? Co oznacza milczenie Piętaszka? Kto w ostatniej metaforycznej scenie odwiedza wrak statku? Foe? Kruzo lub jego duch? Autor? Przeczytajcie *Foe* J. M. Coetzeeego. Książkę, która arcydziełem nie jest (te pojawiają się przecież nader rzadko), ale która ociera się o arcydzieło w takich chociażby fragmentach jak ten: „Przypadek rzucił mnie na tę wyspę, przypadek rzucił mnie w jego ramiona. Czy w świecie przypadku istnieje jakieś *lepiej* i *gorzej*? Poddajemy się uściskowi nieznanego lub oddajemy falom; na mgnienie oka czujność nasza przygasa; zasypiamy; a przebudziwszy się, widzimy, że oto życie utraciło kierunek. Czymże są owe okamgnienia, przed którymi chroni nas jeno wieczne i nieludzkie czuwanie? Czy nie szparami i szczelinami, kędy w życiu naszym przemawia inny głos, inne głosy? Jakim prawem zatykamy uszy?”

J. M. Coetzee, *Foe*, wydawnictwo "ZNAK", 2007





ROBERT KONCA

Żegluga promowa na rzece

Styks

Ci których nazywamy umarłymi
Nie umierają w istocie, oni
Tylko przez chwilę są tu nieobecni

Potem chodzą wśród nas choć nie
słysząc ich kroków
Patrzą jak zapominamy pogrążeni w
sobie
I nie zauważamy ich powrotu

Mylimy że na zawsze odchodzą
A oni nie zaprzestając swoich
poszukiwań
Przekonawszy się że poza tą przestrzenią

Nie ma dla nich niczego lepszego
Pokornie wracają z jałową pamięcią...
Być może później w innym wyciągają
miejscu

Swój los, być może obrany na nowo
Cel przeciwną rozjaśnia stronę nieba
Lecz Przewoźnik łączywie inkasując
obol

Ma rozkaz długo kluczyć wśród nurtu
riecznego
I wszystkim pasażerom bez względu na
profesję
Mówić że widzi ich dopiero po raz
pierwszy

MARIUSZ BOBER

MARCIN DYDYNA - ANOMALIE

Pierwsza myśl jaka mi przyszła po recenzji tomiku Marcina Dydyny to dwa słowa. Kropka i koniec. I w tych słowach zawarłaby się cała recenzja. Dlaczego? Po-nieważ jest idealny. Perfekcyjny. Kiedy zacząłem pisać recenzję nie dotarłem jeszcze do jego końca lektury. Nie musiałem. Po kilku pierwszych tekstach wiedziałem już, że tekstyważone są aptekarską wagą. Znakomicie. Ani jednej kropki więcej niż potrzeba. Ani jednego zbędnego przecinka. Nie miałem czasu, by pisać recenzję. Na słowa administratora witryny Knowacz.pl: „może byś napisał recenzję”, zareago-wałem z lekką niechęcią czy nawet iry-tacją. Nie, nie z powodu złości, ale z powo-du nawału prac. W duchu sobie myślałem: „Do cholery, odczepcie się ode mnie. Ja nie potrafię pisać recenzji. Nie znam się. Nie mam pojęcia o recenzjach, a już na pewno na warstwie technicznej. Cóż, jedyne kry-terium mojej oceny to wycucie i intuicja. Ale może akurat w tym serwisie o to cho-dzi, o wycucie i intuicję. Oby. Nie, nie jestem profesjonalem i nie zamierzam nim być. Zamierzam natomiast brać na intuicję i na aptekarską wagę. Jak położę i drgnie, powiem ok. Można czytać. W tym przy-padku tomiku Marcina należy przeczytać i mieć na własność do poduszki, na półkę, dla przyjaciela, dla innych! A Ty, Piotrze, wybacz moją irytację. Teraz dziękuję, że zleciłeś mi tą recenzję. Dawno nie czyta-łem tak lekkiej i precyzyjnej poezji. Tak syntetycznie podanego tematu, a jedno-cześnie nie pozbawionego ducha. Dla mnie znakomite. Polecam i rekomenduję.



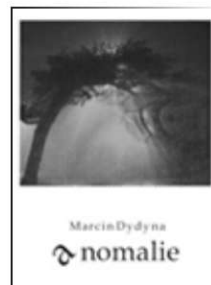
na prowincjach umysłu

szukam pominiętych słów
czytam drzewa twarze i nas
których nie można
nigdzie dopasować

odgrodzeni
sypiamy w potarganej pościeli

noce są późne
sny wiją się w porannej przestrzeni
na językach światła

Marcin Dydyna, Anomalie,
Wirtualne Wydawnictwo
„Goneta” Aneta Gonera,
www.goneta.net, s. 28





NESTOW SAKACZBIA

„oto jest, i (...)”

slepa wiara
slepa miłość
i nadzieja równie ślepa
prowadzone uwięzione
przez człowieka

co to niby widzi wszystko
jak na dłoni
zapisanej bruzd ilością
i ciągłością przerywaną
rzutem oka

tam gdzie pole malowane
dziur językiem
tam karawan
ślepych wiedzie

do widzenia

:)pomędzy(

dziecięcych chwil pisanie

słów mlecznych
wypadanie

z mlekiem matki
ciepłym lekiem

na przeżycie

Zakupuku (Nierwana)

Zapagnęli nieznanego
I wydali się
Po woli

Raz

I drugi
Potem trzeci
I tak leci
Leci

Leci

Jestem
Resztą co została
Nie wydana

Cena zbytu
Górowana

Ponad mękę
I ułudę
Żądy tej

Nieposiadania